

T-SKY AND D-DAY¹

Chcę podzielić się wrażeniami, jakie wyniosłem z transmisji satelitarnych – reportaży z tzw. D-Day. Takim kryptonimem określono operację desantową, jaką przeprowadziły wojska sprzymierzone dokonując lądowania w Normandii dnia 6 VI 1944. Teraz przypadała 50 rocznica tego wydarzenia. Telewizje światowe pokazywały obszernie sfilmowane wówczas fragmenty samego lądowania, transmisje obecnych uroczystości rocznicowych, jakie się odbywały po obydwóch stronach kanału La Manche i liczne wypowiedzi weteranów, którzy jeszcze mogli przybyć z różnych zakątków świata. Uroczystości zainaugurowała na brzegach Albionu królowa Anglii, na lądzie europejskim przejął ich dalszy ciąg prezydent Mitterand. Obecni też byli królowie, prezydenci, księżęta państw sprzymierzonych oraz weterani, którzy jeszcze czasów obecnych dożyli, i którzy się ze sobą od 50 lat nie widzieli. Był też nasz polski prezydent Lech Wałęsa z małżonką, były sztandary i oddziały wojska polskiego, wraz z oklaskiwaną orkiestrą wojskową, przypominającą, że „oto dziś dzień krwi i chwały..., gdy w tęczę Franków orzeł biały, patrząc, lot swój w niebo wzbił”. Impreza gigantyczna. Pokazy na lądzie, na morzu i w powietrzu odtwarzały fragmenty desantu, i jak imponująca była ta realizacja rocznicowa, tak wzruszające też były reportaże pełne wspomnień przybyłych weteranów.

Nic więc dziwnego, że odżyły i we mnie moje własne wspomnienia sprzed 50 lat. Byłem wówczas za drutami kolczastymi w obozie koncentracyjnym Mauthausen. Obóz na skałach zbudowany, skałami obwarowany, był odcięty od świata i wiadomości wojennych. Jak kropelki rosy na pustyni, tak rzadkie były wieści o walkach na frontach. Za zdobycie jakiegokolwiek dziennika można było życie stracić. Stąd też z wielkim strachem i napięciem zbieraliśmy strzępy komunikatów wojennych. Aż wierzyć się nie chciało, że „nasi” już w Normandii wylądowali, dogasające płomyki nadziei zaczęły odżywać, i kto jeszcze miał siłę, by poruszać wargami, szeptał zdrowaśki na różańcu cenniejszym niż życie, bo z okruchów chleba zrobionym. W obozie, w którym ludzie żywych jeszcze ludzi jedli, poświęcić okruchy chleba na kilkadziesiąt kulek różańcowych – to wielki akt wiary, to ufność ponad miarę pokładana w pomoc Matki Bożej.

Matka, Wspomożenie Wiernych, rzeczywiście wspomagała. Nie zawiodła. Ci, którzy Jej zaufali, ufając wbrew wszelkiej nadziei, przeżyli. Ale byli świadomi tego, że jeśli przeżyli, to nie mogło to być życie dla siebie. Bo „Bóg i Ojczyzna” – to nie były puste słowa. Te słowa były naładowane dynamizmem obowiązku. A wojna jeszcze trwała.

¹ Konferencja w dniu skupienia alumnów AWS w Szczecinie 22.6.1994 r.

Wprawdzie Niemcy już skapitulowali, ale ich sprzymierzeńcy na drugiej półkuli mieli jeszcze w sobie ducha i siłę smoka. Nie wiedzieliśmy, kiedy się Japonia podda, więc do wojska jeszcze werbowano. Kto wie, na jakiej rzece Kwai trzeba się jeszcze będzie z nim zmierzyć? Wydawało się więc, że to rzecz zwykła i normalna, gdy mnie przewieziono samolotem do Francji, że skierowałem swe kroki do koszar Bessières w Paryżu. Wycieńczenie było jednak zbyt duże. Gdy wyszedłem z koszar na pierwszy spacer po mieście, padłem na ulicy, i zamiast na froncie znalazłem się w szpitalu. Poza leczeniem, doznałem tam ze strony Francuzów dużo chrześcijańskiej pomocy i troski, okazywanej nieznanemu przecież obcokrajowcowi. Wspominam to z wdzięcznością. A gdy stanąłem na nogach, była to też rzecz normalna, żeby Maryi, Uzdrowieniu Chorych, za łaskę podziękować. W mundurze jednostek brytyjskich udałem się do Lourdes. Jechałem mając żywo w sercu przedwojenny hymn sodalicyjny głoszący, że „spod znaku Maryi rycerski my huf” Już nie byłem numerkiem z literą P na czerwonym trójkącie, lecz czułem się jak rycerz Królowej Polski, skoro na ramieniu był napis „Poland”. Jak matka swe dziecko, objęła też mnie Maryja i umocniła swą cudowną wodą z Lourdes. A objęła mnie całkowicie, bo jak innych chorych tak i mnie, „brankadierzy” zanurzyli w basenie, przez który ta woda przepływa, i postawili na nogi. Nie mogę się zatem dziś dziwić, że choć pół wieku minęło, choć piekło obozowe przeszedłem, dziś jeszcze żyję. I wolność, i życie – Maryi Matce zawdzięczam.

Odtąd miałem z wojskiem polskim wiele jeszcze innych kontaktów. Lecz skoro Japonia skapitulowała, zgodnie z dewizą „Bóg i Ojczyzna” mogłem powrócić do spełniania pierwszego z tych dwóch obowiązków. Po koszarach Bessières przyszedł czas na tworzące się Polskie Seminarium Duchowne w Paryżu. Pierwszy rok studiów był bardzo trudny. Po jego zakończeniu mogliśmy się dopiero w pełni cieszyć wolnością przeżywając lato 1946 na jednej z plaż nadmorskich w Lehomme-Varaville. Jest to jedna z plaż położona na wybrzeżu Normandii. I to tam, gdzie miało miejsce wspomniane lądowanie. Plaże były już rozminowane, ale pamiętam, jak na naszych oczach w piachach i wydmach samoczynnie wybuchały miny, których mimo prac saperskich nie wykryto.

Stąd też jakby ładunkiem minowym były dla mnie telewizyjne transmisje z Okhama-Beach w Normandii, i wspomnienia z tym czasem związane. Ze szczególnym też wzruszeniem łączyłem moje wspomnienia z reportażami weteranów, które nadawały stacje satelitarne w różnych językach.

W różnych też językach i my Bogu za dar wolności dziękowaliśmy. Został mi w pamięci wyraz wdzięczności wypowiedziany w normandzkiej parafii po francusku przez jednego z naszych neoprezbiterów. Nie wiedziałem, że Maryja, Matka Kościoła, każe mi te wspomnienia odnowić, gdyż tym neoprezbiterem był późniejszy ks. abp Kazimierz Majdański. Najpierw byłem obecny na jego święceniach kapłańskich, których mu udzielał w Paryżu ks. bp Radoński. Potem – na jego konsekracji we Włocławku, na którą pojechałem z Gniezna razem z ks. prymasem Wyszyńskim. A wspominam te szczegóły dlatego, że na tę konsekrację podarowałem mu portret pewnej dziewczyny. Ładne miała oczy. Później powiedział mi, że gdy został biskupem, artyści mu całe mieszkanie prze-meblowali, ale ten jedyny portret ich tak zafascynował, że go nie ruszyli. Czyżby aż do Włocławka nadal sięgał D-Day, skoro ta panna pochodziła z Normandii?

W czasie pobytu i zwiedzania Normandii mieliśmy okazję poznać osobowość owej dziewczyny. Odwiedziliśmy jej dom rodzinny. Pamiętam, złociste miała włosy. Zapoznaliśmy się też szerzej z jej rodziną, i osobiście i przez korespondencję, którą bez popełniania niedyskrecji, czytaliśmy. Rozumieliśmy, że ta panna zmieniła później swe rodzinne nazwisko, bo tak czyni każda panna po ślubie. Tyle tylko że ten jej ślub był dość osobliwy. W dawnych wiekach zdarzało się to dość często, że rodzice przeprowadzali

zaślubiny swoich małych dzieci. Ale dziś, to ciekawe, jeśli dorosła panna poślubia małego chłopca. A tak właśnie było: Mademoiselle Martin mogła się po swych zaślubinach przedstawić tylko jako siostra Teresa: od Dzieciątka Jezus.

Do jej miasta z Lehomme-Varaville jest około 30 km. Gdyśmy tam przybyli, wielka bazylika mająca uczcić małą świętą była od 9 lat w budowie. Czas wojenny zahamował pracę nad dwukondygnacyjną świątynią. W roku 1946 czynny był dopiero kościół podziemny, a góra, tzn. kościół główny, nie była jeszcze wykończona. Ale były tam już ołtarze boczne. Miło nam było natrafić wśród nich na ołtarz Matki Boskiej. Gdy podeszliśmy bliżej, doznaliśmy jeszcze milszej niespodzianki. Witła nas Madonna przypominająca, że „jest zakątek na tej ziemi, gdzie powracać każdy chce” Gdyby Gołaszewska była wówczas w Lisieux razem z nami, innej pieśni by nie śpiewała... Na obcej ziemi – a jednak w ramionach Jasnogórskiej Pani. A sprawił to apostołski rozmach małej świętej, że we francuskiej bazylice znalazło się miejsce dla Królowej Polski.

Bazylika była przewidziana na większą liczbę pielgrzymów. I słusznie, bo przez rok przepływa tam półtora miliona ludzi. Przychodzą inspirowani niekiedy ciekawością, niekiedy bezmyślną turystyką, a niekiedy i prawdziwą pobożnością. Nie wyobrażała sobie Teresa, jakie utrapienie Karmelowi z Lisieux szykuje.

Jak inne, tak i ten miał być oazą modlitwy, skupienia i pokuty. Żyła w jego zamknięciu przez 9 lat. W jego ciszy umiała taką moc ducha wydobyć, że porusza dziś miliony. A biedne siostry muszą walczyć o zachowanie autentyczności swego powołania, wobec rozgwaru wciskającego się poprzez zamknięte mury, bramy i kraty.

Dlatego uważaliśmy to za duże szczęście, gdy przez zasłoniętą kratę usłyszeliśmy drżące głosy panien Martin: Pauliny i Celiny. Żyły jeszcze te rodzone siostry Teresy. Paulina jako siostra Agnieszka od Jezusa i Celina jako siostra Genowefa od Najświętszego Oblicza i Świętej Teresy. Prosililiśmy je o modlitwę. A one, dowiedziawszy się o naszych przeżyciach obozowych, zapewniły nas o pamięci przed Panem i ofiarowaniu swego życia również w intencjach powstałego Polskiego Seminarium Duchownego w Paryżu.

Nie były to puste słowa. Na początku roku 1951 miałem otrzymać święcenia subdiakonu. Był to wówczas stopień przed diakonatem. Byłem jednak zdrowotnie bardzo osłabiony, tak że wahałem się, czy fizycznie przetrwam tygodniowe rekolekcje, których surowość była mi znana. Niejeden już raz w czasie studiów taki stan załamania przeżywałem, ale też niejeden raz wstawiennictwo św. Teresy siły mi przywracało. Napisałem więc i teraz o swym smutnym położeniu do Karmelu w Lisieux. Ale tym razem – bez echa. Żadna poprawa nie następowała. Termin się zbliżał, nie było wyjścia. Trzeba było pójść do ks. rektora Banaszaka i zgłosić, że się ze święceń wycofuję. Zasmucony – dziś jeszcze w Paryżu żyjący – Infułat widział moją mizериę i wyłączył mnie z ćwiczeń duchownych, kazał się położyć, ale poradził, bym skorzystał z takiej czy innej nauki rekolekcyjnej, gdy będę w stanie się zmobilizować: „Nigdy to nie zaszkodzi...” I tak się stało. Nie zaszkodziło.

Kiedy się zmobilizowałem – nie wiem. Kiedy się włączyłem w ćwiczenia duchowne – nie wiem. Wiem tylko, że z pełną świadomością mogłem stanąć przed przybyłym na Rue des Irlandais nuncjuszem papieskim Giuseppe Roncallim, późniejszym Janem XXIII, i powiedzieć: „Adsum”

Po święceniach, po uroczystym przyjęciu, wyszliśmy z jadalni na rekreację. Przyniesiono pocztę, której w czasie rekolekcji odbierać nie można. Wśród korespondencji był list z Lisieux. Doznałem olśnienia. Na tle poprzedniego napięcia – dam radę, czy nie dam rady? – o Karmelu całkiem zapomniałem. Ale Tereska nie zapomniała. Wyręczyła się Celiną. Przesłała swój obrazek z dopiskiem na odwrocie: „Bien fervente union de prières”². Jej zapewnienia z Normandii z 1946 roku nie były pustym słowem.

² „Mocne zapewnienia o żywej pamięci w modlitwie”

Ale poza Karmelem, poza bazyliką, był jeszcze trzeci obiekt, który w Lisieux widzieliśmy. Ujrzeliśmy go nieoczekiwanie, gdy odsłoniły się krzaki i drzewa, za którymi, na lekkim wzgórzu, stoi dom rodziny Martin. Mocno rozrośnięty drzewostan otaczający dwupiętrową posesję sprawia, że można go określić mianem „Zakrzewko”, co właśnie oddaje francuska nazwa „Les Buissonets”. Ludwik Martin przybył tam z rodziną, gdy Teresa miała prawie 5 lat. Swą matkę zostawiła w Alençon, na cmentarzu. Od paru miesięcy była sierotą.

W Lisieux ojciec starał się zastąpić kochaną matkę. Ale jak on to umiał! Był dla córki i ojcem, i matką. Starał się wczuć w potrzeby swego najmłodszego dziecka, zapewnić opiekę, spełniać szlachetne pragnienia jej serca. Poświęcał się dla niej do tego stopnia – rzecz wówczas niezwykła – że ośmielił się uzyskać dla podlotka audiencję u samego Biskupa. Co więcej, nie szczędził trudu ani kosztów, gdy zdecydował się z nią jechać do Rzymu, a tam – superwyczyn – uzyskać audiencję u samego Ojca Świętego. Nazywał ją swoją „małą królową”. Kochał swego beniaminka, jak tylko ojciec swe dziecko ukochać może.

Teresa żywo odczuwała tę miłość ojcowską. Małe dziecko nie mogło być świadome trudów i zabiegów, jakie nieraz kosztowało jego zdrowie czy samopoczucie, ale miłosa troska ojcowska stanowiła jakby drugie powietrze, w którym żyła, które wchłaniała, którym się cieszyła. Odwzajemniała się żywą miłością swego małego serduszka. Kochała ojca, jak tylko mogła. W „Dziejach duszy” z wielką rzewnością wspomina długie rozmowy prowadzone na tarasie „Zakrzewka”, czy też spacerzy wiodące poza miasto, chłonąc czystość i świeżość otaczającej przyrody. W rozmowach tych pan Martin dzielił się niemałym doświadczeniem, jakie syn kapitana z Bordeaux mógł w swym życiu zebrać. Mówimy dziś, że „rodzina – to mała szkoła i mały kościół dla dzieci” Taką szkołą i takim kościołem były „Les Buissonets” dla Teresy. Na kolanach ojca zdobywała większą mądrość życiową, niż w szkole Sióstr Benedyktynek, do której później uczęszczała.

Lubiła też spacerować z ojcem, gdy trzymając go mocno za rękę, szła spokojna i słuchała jego opowiadań. To w czasie jednego z takich spacerów, nie patrząc gdzie idzie, bo starczyło że ojciec widział drogę, zawieszona swą piąstką w dużej ojcowskiej dłoni, cieszyła się, że mogła idąc przed siebie wpatrywać się w gwiazdziste niebo. I co to była za radość, gdy pewnego razu odnalazła na tym niebie wypisane swoje własne imię! Może dokładniej, inicjał tego imienia. Gwiazdy układały się bowiem tak, że w przybliżeniu tworzyły literę „T”. Radość dla niej? Radość i dla nas. Bo te gwiazdy od tego czasu się nie zmieniły. Ciągłe nadal tak samo świecą, choć może z pewną różnicą. Litera „T” nam dzisiaj nieco jaśniej jeszcze świeci niż wówczas małej Teresce. Świeci podwójnie: najpierw tak, jak na nieboskłonie roztaczającym się wówczas nad Lisieux, ale ponadto zapewnia nas, że nie tylko na niebie, lecz również w samym niebie jest wypisany już nie inicjał, a pełne imię świętej Teresy do Dzieciątka Jezus.

Spróbujmy pojąć, co nam to daje. Jeśli z Chłopcem zaślubiona, postarajmy się do szeregu chłopców zaliczyć. Stańmy się, jak Ewangelia każe, małym dzieckiem. I wyjdźmy jak to normandzkie dziecko na spacer wśród gwiazd. A w czasie tego spaceru nie mówmy więcej jak tylko dwa słowa: „Ojczy nasz”

Dla Teresy ojciec był wszystkim. Był jej mądrością, był jej oparciem, był jej powiernikiem, był jej królem. Był dla niej wszystkim. Szła przed siebie nie patrząc, gdzie stąpa. Ojciec ją za rękę prowadził. To wystarczy. Nie potrzebowała filozofii ani świętej teologii, by operować tym, czym jest „via eminentiae”³. Nie potrzebowała studiować traktatów wykazujących, jak wszystkie doskonałości spotykane na ziemi muszą być w Bogu

³ Tzn. gradacja doskonałości.

Ojcu najdoskonalsze, i to w doskonałości nieskończonej. Jej wystarczało zwykłe „naj” Bo skoro Wielki Bóg jest też Ojcem, to na myśl o „naj- naj- naj-” serce bić przestaje. Przypatrzmy się więc dobrze tej literze na niebie wypisanej, uchwycimy promienie przez T-Sky wysyłane:

Jeżeli pan Martin potrafił być tak dobrym ojcem, jak nieskończenie dobry musi być i dla mnie Ten, od którego wszelkie ojcostwo pochodzi!

Jeżeli człowiek potrafi okazywać swej córce tak wzorową miłość, jak bardzo musi mnie kochać Ten, który się tą miłością sam określił: „Bóg jest miłością”!

Jeżeli dziecko potrafi iść przed siebie, nie patrząc gdzie idzie, bo swą małą piąstkę schowało w wielką rękę Ojca, z jaką absolutną pewnością mogę i ja iść przed siebie, nie myśląc o tym co jest przede mną, bo starczy, że On widzi wszystko, On wie wszystko, On wszystko może!

I jeżeli małe serduszko tak potrafi kochać swego „króla”, jak wielka musi być moja wiara w sam ten fakt, że Bóg mnie kocha. Jak wielka moja ufność, skoro On Królem Wszechświata... Jak wielka moja miłość, by ze wszystkich sił dobremu Ojcu dziecięcą wdzięczność okazać...

I tak zwyczajnie idąc, nie zważając dokąd, weszliśmy już na początek tzw. „małej drogi św. Teresy od Dzieciątka Jezus”. Bez spekulacji, teoretyzowania czy abstrakcji. Po prostu weszliśmy. Ale załedwie na początek. Cała doktryna ucząca, jak dalej iść tą drogą, stoi jeszcze przed nami. Zatrzymajmy się na razie, bo i Pan zatrzymał żywot pana Ludwika Martin akurat 100 lat temu. Dokładniej: 29 V 1894. Teresa nie wiedziała, że ten sam Pan zatrzyma w 50 lat później uciemnienie ludów Europy, że pod normandzkim niebem ukaże się apokaliptyczna litera D: D-Day z Okohama-Beach. Nie wiedziała, że z kolei w 100 lat później zbierze nas tutaj, by się ze swymi dziećmi zabawić w czytanie gwiazd na niebie. Ale wiedziała, że jeżeli zechcemy przyjąć zaproszenie do tej zabawy, jeżeli zechcemy stać się jak dzieci, to każdy z nas dozna, jak Wielki Pan Martin trzyma nas mocno za rękę i co znaczy Psalm, mówiący: „Pan mym pasterzem, niczego się nie lękam” Trzymajmy się tylko Jego ręki. I idźmy śmiało przed siebie.

Drodzy Alumi, prawie każdy z was przeżywać będzie takie czy inne trudności, być może podobne do tych, które ja przed subdiakonatem przeżywałem. Nie z własnej próżności je wspominałem, ale w tym celu, byś – gdy przyjdzie ta chwila – się nie łamał, nie „cudował”. Idź wtedy na spacer. Spójrz na niebo. Doświadczysz, jak św. Teresa spełnia wiernie swe obietnice. Zsyła płatki róż, jak obiecała. A dla kapłanów, i dla kandydatów do kapłaństwa, szczególnie. Gwiazda „T” świeci niezmiennie...

Przekazuję wam te wspomnienia z pewnym zażenowaniem, bo przychodząc na dzień skupienia myśleliście, że będę mówił o Panu Bogu, a ja tu mówię o sobie.

Ale jeśli zechcecie się zastanowić, to stwierdzicie, że mówię nie tyle o sobie, ile o historii pisanej palcem Bożym w moim życiu. Jakby swoje własne *Dzieje duszy*. Całe życie doświadczałem prawdy głoszonej przez Psalm 90: „Kto się w opiekę...” Ten psalm – to nie tylko pieśń pobożna; zawarte w niej smoki, lwy okrutne czy żmije zjadliwe – to nie tylko metafory, ale są to prawdy apokaliptyczne, które się w moim życiu spełniły. I nawet spełniają po dzień dzisiejszy, skoro Pan pozwolił mi tu jeszcze pracować przez 5 lat, stosownie do ostatnich zwrotek Psalmu 90. Pokochaj ten psalm, a w swym życiu zobaczysz i powtórzysz, że: „śmiało rzec mogę, mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga”

SUMMARY

D-DAY AND T-SKY

Some memories arising about the celebration of the 50th anniversary of the D-Day in Normandy. On its sky read once a little girl her own name: Teresa of Lisieux. T-Sky remains for always a signe, rich of light for every priest, for every seminarist...

rev. Zdzisław Lipiński